

REEN.

TO MORDERCĄ?

W takim razie na piętrze, na którym był Lavenfort, nikogo więcej nie było?

Nikogo.

O której godzinie położył się pan spać?

Koło jedenastej.

Czy w tym czasie nie słyszał pan żadnych szmerów w domu?

— Nie, żadnych — nastąpiła stanowcza odpowiedź.

— W takim razie, by opowiedział od samego początku, wśród jakich okoliczności spostrzeżono ciało jego pana, przedstawił jasno najdrobniejszych szczegółów, nie przecząc sobie i nie gubiąc się w najważniejszych faktach.

— Przyjęły młode panny wiadomość o tym, że zginął koroner, gdy kamerdyner zabrał zeznania.

— Natychmiast pobiegły za nami i weszły do pokoju, w którym spełniono morderstwo. — Koroner zrobiło się niedobrze na widok nie-

— Jakie wrażenie wywarło to na drugiej pan-

— Panna Eleonora, zdaje się, miss Mary?

— Nie mogę tego powiedzieć gdyż chodziłem po domu dla Eleonory.

— Kto przeniesiono pana Lavenforta do sypialni?

— Zaraz po oduceniu pani z omdlenia.

— Kiedyż panna Eleonora przyszła do przytomności?

— Wkrótce potem, jak skropiono jej twarz zimną wodą.

— Kto kazał przenieść nieboszczyka?

— Panna Eleonora; podeszła do zwłok, przyciemniała całem ciałem i poprosiła pana Herla, by przeniósł je razem ze mną i posłał zaraz lekarza. Spełniliśmy natychmiast prośbę pani.

— Czy udała się razem z panami do sypialni?

— Nie.

— W tym czasie?

— Na biurku.

— Czy zwrócona była do

— Nie było.

— Czy?

— Nie mieli

— Na

— Nim

— Czy so-

— Jeden

— Zna-

— Naj-

— Ział

— się

— ny

— ió-

— nie

— oba

— ner

— ze

— Nie, jestem pewny tego, nie mylę się.

Widocznem było, iż przysięgliemu spodobała się skromność kamerdynera, który nie czuł się w prawie sądzić o stosunkach panujących między jego państwem. Siadł więc z zadowoloną miną na swem miejscu i dał poznać, iż nie zamierza już o nic więcej pytać.

Wtedy zerwał się ze swego krzesła pierwszy przysięgły i zapytał:

— O której godzinie otworzył pan drzwi w domu?

— Koło szóstej.

— Czy mógł kto potem wyjść z domu bez zwrócenia pańskiej uwagi?

Tomasz wobec tego pytania z widocznym niepokojem spojrzął na resztę służby, lecz zaraz rzekł z pewnością siebie:

— Nie, nie sądzę, by po szóstej godzinie mógł wyjść kto z domu niepostrzeżenie. Nie można przecież podczas dnia wyskakiwać z pierwszego piętra na ulicę — każdy musi iść po schodach. Ponadto główne drzwi zatraskują się tak głośno, iż słychać to w całym domu, gdyby zaś chciał kto wyjść bocznymi drzwiami i przez ogród, to musiałby przechodzić koło kuchni, a wtedy zobaczyłaby go kucharka.

Słowa te wywarły na wszystkich obecnych silne wrażenie. Dom był rano zamknięty ze wszystkich stron i nikt potem z niego nie wychodził, mordercy więc należy szukać na miejscu. Przysięgły, zadając ostatnie pytania, obejrzał się dokoła z miną pełną zadowolenia i nie chcąc zapewne psuć ogólnego nastroju, siadł w milczeniu. Ponieważ nikt już więcej nie zdradzał ochoty do dalszych pytań, spytał wtedy kamerdyner, który zaczął już tracić cierpliwość:

— Czy pragnie jeszcze kto z panów pytać się mnie o co?

Gdy nikt się nie odezwał, westchnął z ulgą i pospiesznie skierował się do grona służących, jak gdyby uradowany, że pozbył się wreszcie tego ciężkiego obowiązku. Rzuciło mi się to mimowoli w oczy, nie miałem jednak czasu rozmyślać nad tem, gdyż zaraz zaczęło się badanie mego znajomego sekretarza, który był prawą ręką nieboszczyka.

Hervel wystąpił naprzód z miną człowieka, który zdaje sobie sprawę, iż od jego słów zależy życie lub śmierć innych osób. Zewnętrzny jego spokój i godność, z jaką się zachowywał, zjednały mu uznanie wszystkich i nawet mnie wydał się nie tak antypatycznym, jak poprzednio. Wygląd jego był taki, iż nie przemawiał ani za nim, ani przeciw niemu; była to jedna z tych pospolitych twarzy, jakie spotyka się na każdym kroku. Człowiek ten musiał doznać w swem życiu więcej goryczy, niż radości i częściej patrzeć na ujemne strony życia, niż na dodatnie.

Koroner natychmiast przystąpił do badania.

— Pańskie nazwisko?

— James Trumen Hervel.

— Czem pan się trudni?

— Przez ostatnie osiem miesięcy pełniłem obowiązki prywatnego sekretarza pana Lavenforta.

— Pan zapewne ostatni widział go przy życiu?

Przy tem pytaniu młody człowiek hardo podniósł głowę do góry i rzekł:

— Wcale nie, nie ja! Pan chyba wziął mnie za człowieka, który był jego zabójcą?

Podobne słowa wyglądały raczej na żart i ten sposób traktowania śledztwa, wywołanego tak tragicznym wypadkiem, sprawił jak najgorsze wrażenie; ogólny nastrój zmienił się na niekorzyść badanego. Widać było, że i on to odczuł, mimo to jeszcze wyżej podniósł głowę.

— Chciałem zapytać się — powtórzył koroner oburzony taką odpowiedzią, — czy był pan ostatnim z domowników, którzy widzieli pana Lavenforta, zanim go zabiła niewykryta dotychczas osoba?

Sekretarz skrzyżował ręce na piersiach. Nie mogłem domyślić się, czy ruchem tym chce pokryć wstrząsające nim drżenie, czy też zyskać tylko na czasie, by zebrać swe myśli.

— Nie mogę dać panu stanowczej odpowiedzi — rzekł po chwili z powagą. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa ja ostatni widziałem go przy życiu, chociaż nie mogę tego twierdzić z pewnością, znajdując się zwłaszcza w tak wielkim domu.

Zauważywszy, że obecnych nie zadowoliła jego odpowiedź, dodał:

— Obowiązki me wymagały nieraz, bym przy-
szedł do niego i dość późnym wieczorem.

Może nas pan poinformować, na czem właściwie polegały obowiązki sekretarza — spytał Koroner, czyli inaczej mówiąc, jakie zajęcia powierzył panu Lavenfort?

— Dlaczego nie? Panu zapewne wiadomo że nieboszczyk posiadał ogromny majątek, a że cieszył się reputacją człowieka nadzwyczaj dobrego i uczynnego, przysyłano mu też całe stosy listów i próśb, które ja winienem był odczytywać, a nieraz i odpowiadać na nie. Jego osobista korespondencja była zaznaczana specjalnym znakiem, którym odróżniała się od ogólnej. To jeszcze nie wszystko. Pan Lavenfort prowadził poprzednio handel herbatą, wskutek czego bawił kilkakrotnie w Chinach i bardzo interesował się pytaniem, w jaki sposób możnaby zawiązać bliższe stosunki z tym krajem. Aby ułatwić bliższe poznanie Chin, a zwłaszcza ich ludności i panujących tam zwyczajów, zaczął nawet pisać na ten temat książkę. Moja pomoc w tej pracy ograniczała się tylko do tego, iż codziennie pisałem po trzy godziny pod jego dyktandem. Na ostatnią godzinę przychodziłem późno wieczorem między dziewiątą a jedenastą. Pan Lavenfort był bardzo punktualny i lubił we wszystkim dokładność.

— Mówi pan, że pisał co wieczór pod jego dyktandem. W takim razie i wczoraj również?

— Tak, jak zawsze.

— Co pan może nam powiedzieć o tem, jak się Lavenfort czuł? Czy nie zauważył pan, by był czemś wzruszony lub zaniepokojony?

Sekretarz zmarszczył lekko brwi i odpowiedział z namysłem:

— Ponieważ, o ile można sądzić, nie miał najmniejszego pojęcia o tem, iż śmierć jego jest tak bliska — to dlaczego miałby się wzruszać lub niepokoić?

Koroner, niezadowolony z tonu, w jakim świadek składał zeznania, skorzystał ze sposobności i zwrócił mu ostrą uwagę:

— Pański obowiązek odpowiadać na pytania, a nie zadawać je!

— Bardzo dobrze. W takim razie muszę powiedzieć, że jeżeli pan Lavenfort przeczuwał nawet swój bliski koniec, to nic mi o tem nie wspominał, a nawet więcej niż kiedykolwiek zdawał się być przejętym swoją pracą. Ostatnie jego słowa, zwrócone do mnie, były następujące: „Jeszcze przed upływem miesiąca książkę tę będzie można oddać do druku, prawda James?” Pamiętam je doskonale, gdyż właśnie w tej chwili nalewał sobie wino; zwykle przed udaniem się na spoczynek wypijał kieliszek wina. Miałem już wychodzić i oparłem rękę na klamce, zatrzymałem się jednak i rzekłem: — Z wszelką pewnością. — „Wobec tego napijmy się na pomyślność tej książki”, — dodał i nalał mi kieliszek. Ja wypilem od razu, pan Lavenfort tylko połowę kieliszka. Gdyśmy go rano zastali nieżywego, kieliszek stał jeszcze na biurku.

Widocznem było, iż opowiadanie o ostatnich chwilach, spędzonych razem z nieboszczykiem, bardzo wzruszyło sekretarza: wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią pot z czoła.

— Na pożegnanie — mówił on dalej — życzyłem panu Lavenfort spokojnej nocy i wyszedłem z pokoju.

Koroner pozostał obojętnym na wzruszenie sekretarza; popatrzył na niego uważnie i zapytał:

— A dokąd pan udał się potem?

— Do swego pokoju.

— Po drodze nikogo pan nie spotkał?

— Nikogo.

— Nie zauważył pan i nie słyszał nic szczególnego?

Głos sekretarza zdawało się iż drgnął, gdy odpowiadał:

— Nie... nic...

— Niech pan zastanowi się jeszcze, panie Hervel, czy może pan z czystym sumieniem potwierdzić, iż istotnie nikogo pan nie spotkał i nic nie zauważył?

Na twarzy świadka malował się przestach: dwa razy otwierał usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, oba jednak razy nie wydał z siebie ani jednego słowa. Wreszcie rzekł z widocznym wysiłkiem:

— Rzeczywiście, spostrzegłem coś, była to jednak taka drobnostka, iż nie chciałbym nawet wspominać o niej: wobec pańskiego nalegania przypomniało mi się to teraz.

— Cóż to więc było?

— Jedne drzwi były niedomknięte.

— W którym pokoju?

— Miss Eleonory Lavenfort. — Głos młodego człowieka stał się tak cichym, iż ledwie go można było dosłyszeć.

— Gdzie się pan wtedy znajdował, gdy to zauważył?

— Dać panu na to ścisłej odpowiedzi; — własnych drzwi, gdyż nie pomyślałem o wyjściu po drodze. Gdyby nie